



VINELAND

thomas pynchon

PIERWSZE POLSKIE WYDANIE

Pewnego letniego poranka w roku 1984, później niż zazwyczaj, Zoyd Wheeler wychynął ze snu w słońcu sączącym się przez zwisający w oknie pnący fikus, przy wtórze szwadronu tupiących po dachu sójek. Śniło mu się, że sójki są gołębiami pocztowymi skądś zza oceanu, lądującymi jeden za drugim i znów zrywającymi się do lotu, przynoszącymi wiadomości, których, pośród rozedrganych światłem skrzydeł, odebrać na czas nie był w stanie. Pojmował, że to kolejny bolesny kuksaniec od wiadomych sił niemal na pewno powiązanych z listem, który nadszedł wraz z psychiatrycznym świadctwem rentowym i przypominał mu, że jeśli przed upływem tygodnia nie odstawi publicznie jakiegoś wyskoku, przestanie się kwalifikować do renty. Wyjął się z łóżka. Gdzieś w dole wzgórza pracowały młoty i piły, a w radiu czyjeś furgonetki grała muzyka country. Skończyły mu się fajki.

Na kuchennym stole, obok pudełka płatków Count Chocula – jak się okazało pustego – znalazł wiadomość od Prairie. *Tato, znów zmienili mi zmianę, więc pojechałam z Thapsią.*

Dzwonili z Kanału 86, mówili, że to pilne, powiedziałam im: spróbujcie go kiedyś dobudzić. I tak Cię Kocham. Prairie.

– Znowu Fruit Loops – mruknął do liściku. Nie są takie złe, kiedy posypie się je nesquikiem, w dodatku w różnych popielniczkach walało się kilka dających się dopalić petów. Spędziwszy w łazience tyle czasu, że więcej się nie dało, zabrał się za szukanie telefonu, dzwonienie do lokalnej stacji telewizyjnej i recytowanie tegorocznego komunikatu prasowego. Ale...

– Niech pan to lepiej sprawdzi jeszcze raz, panie Wheeler. Powiedziano nam, że zmieniono panu harmonogram.

– U kogo mam sprawdzić? Przecież sam to robię, nie?

– Wszyscy mamy się zameldować w Cucumber Lounge.

– Ale beze mnie, bo ja będę w Log Jam w Del Norte.

Co się dzieje z tymi ludźmi? Przecież Zoyd planował to od wielu tygodni.

Desmond leżał na ganku w okolicy miski, która za sprawą sójek, zrywających się z sekwoi i porywających psu jedzenie kawałek po kawałku, zawsze była pusta. Od jakiegoś czasu psia karma zmieniła nastawienie sójek do świata; niektóre, jak mówiono, ganiały za samochodami osobowymi i pick-upami przez całe kilometry i dziobały każdego, komu się to nie podobało. Kiedy Zoyd wyszedł, Desmond obrzucił go pytającym spojrzeniem.

– Kombinuj dalej. – Zoyd pokręcił głową, widząc czekoladowe okruszki na pysku psa. – Wiem, że cię nakarmiła, Desmond, i wiem też, czym cię nakarmiła. – Pies odprowadził go aż do bierwion na opał, machając ogonem na znak, że nie czuje urazy, wpatrywał się w swojego wyjeżdżającego tyłem na leśny dukt pana, a w końcu odwrócił się i zajął własnymi sprawami.

Zoyd pojechał do Galerii Vineland i krążył przez chwilę po parkingu, wypalając połowę skręta, którego znalazł w kieszeni, po czym zaparkował furę i poszedł do More Is Less, dyskontu dla obfitszych kobiet, kupił barwną sukienkę koktajlową w dobrze wyglądających w telewizji kolorach, płacąc za nią czekiem, który – jak przeczuwali oboje z ekspedientką – był bez pokrycia i wylądował przylepiony do kasy; następnie udał się do męskiej toalety na stacji benzynowej Breez-Thru, gdzie przebrał się w sukienkę i damskim grzebyczkiem utapirował to, co miał na głowie i na policzkach w kłębowisko, które – jak miał nadzieję – specjalistom od zdrowia psychicznego wyda się należycie zaburzone. Wrócił do samochodu, nalał do baku benzyny za pięć dolarów, wyjął ćwierć galonu oleju z trzymanej na tylnym siedzeniu skrzynki, znalazł lejek, wbił go w puszkę i dolał większość do silnika, z wyjątkiem odrobiny, którą zmieszał z benzyną i przelał do zbiorniczka małej eleganckiej, zapewne importowanej piły łańcuchowej wielkości karabinka maszynowego Mini-Mac, a potem ukrył piłę w płóciennym torbie plażowej. Znajomy Prairie, Slide, wyszedł z kantorka, żeby popatrzeć.

– O-o, czy to już pora?

– W tym roku też mnie to zaskoczyło. Chyba robię się na to za stary.

– Znam to uczucie. – Slide pokiwał głową.

– Masz piętnaście lat, chłopie.

– I wszystko widziałem. Na czyje okno padnie w tym roku?

– Niczyje. Daję za wygraną, wyskakiwanie przez okna to przeszłość, w tym roku biorę małą piłę łańcuchową do Log Jam i przekonam się, co będzie dalej.

– Eee... może lepiej nie, panie Wheeler. Był pan tam ostatnio?

– No, wiem, że siedzą tam twardzi hombre, same skurczybyki, którym przez cały dzień drzewa zwalają się na łby, więc nie mają za bardzo cierpliwości do wygłupów, ale przemawia za mną element zaskoczenia, nie?

– Przekona się pan – rzucił znudzony Slide.

Jasne, że tak, ale dopiero po zmarnowaniu mnóstwa czasu – o wiele więcej, niż mogło znieść jego mocno nadwerżone poczucie humoru – na stojedynce, a to z powodu konwoju przybyłych z innego stanu i objeżdżających ospale sekwoje kamperów Winnebago, pośród których na dwupasmowych odcinkach musiał hamować, redukować bieg i znosić multum nie zawsze przyjemnych uwag.

– Odwalcie się! – wrzeszczał, przekrzykując silnik. – Tak, to... eee... oryginalny Calvin Klein!

– Calvin nie szyje rozmiarów większych od czternastki! – wołała do niego przez okno dziewczynka młodsza od Prairie. – A ciebie trzeba zamknąć!

Była już pora lunchu, kiedy w końcu dojechał do Log Jam, gdzie z rozczarowaniem stwierdził, że brakuje mediów, bo na świeżo wyasfaltowanym parkingu stały tylko maszyny z wyższej półki dla zamożniejszych klientów. Była to pierwsza z kilku nieprzyjemnych wiadomości z ostatniej chwili. Starając się myśleć pogodnie – przyjmować, na przykład, że ekipy telewizyjne zwyczajnie się spóźnią – Zoyd zabrał torbę z piłą, poprawił raz jeszcze fryzurę i wpadł do Log Jam, gdzie z miejsca zauważył, że wszystko – począwszy od kuchni, aż po klientelę – pachnie inaczej.

O-o. Czy nie powinien przypadkiem stać gdzieś tutaj bar dla drwali? Wszyscy wiedzieli, że nadeszły wspaniałe czasy dla shtywniaków z lasów – choć nie dla tych z tartaków, bo Japończycy kupowali na pniu nieprzerobione na tarcicę

drewno – ale mimo wszystko widok był zaskakujący. Niebezpieczni mężczyźni o pogardliwym nastawieniu, szczególnie wobec śmierci, siedzieli na designerskich stołkach barowych, sącząc mimozy z kiwi. Szafa grająca słynna niegdyś na odcinku setek zjazdów z nadbrzeżnej autostrady dzięki gigantycznej kolekcji country-and-western, wśród której było sześć coverów *So Lonesome I Could Cry*, została przeformatowana na lekką muzykę klasyczną i new age ciurkający taktownie na granicy słyszalności, spowalniający i usypiający całą salę drwali i pilarzy, którzy obecnie przypominali modeli z reklam na Dzień Ojca. Jako pierwszy zwrócił na Zoyda uwagę jeden z wyższych spośród tych osobników i postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Miał stylowe okulary przeciwsłoneczne, koszulę Turnbull & Asser w pastelową kratę, warte kilkaset dolarów džinsy od Mme. Gris i buty après-rażanie z przygaszonego, lecz niezaprzeczalnie błękitnego zamszu.

– Dzień dobry, śliczna panienko, wystrzałowu panienka wygląda, w innych okolicznościach i innym nastroju wszyscy zechcielibyśmy poznać panienkę i jej rozliczne zalety bliżej, bo modowy komunikat panienki wskazuje, iż należy panienka do wrażliwych osób, które potrafią ocenić problem, który nam się zarysował w kwestii orientacyjnych drgań, jeśli panienka nada...

Mocno skonfundowany Zoyd, którego instynkt samozachowawczy nie spisywał się od jakiegoś czasu najlepiej, postanowił wyjąć z torby piłę.

– Buster! – zawołał błagalnie do właściciela za barem. – Gdzie są media? – Urządzenie natychmiast przykuło uwagę gości w sali, i to nie tylko ze względu na nowinkarstwo techniczne. Widzieli przed sobą wykonane na zamówienie

damskie narzędzie łańcuchowe, „wystarczająco mocne do drewna” – jak głosiła reklama – lecz na tyle małe, by zmieścić się w torebce”. Prowadnicę, uchwyty i obudowę wyłożono prawdziwą macią perłową, a nad łańcuchem gotowym w każdej chwili zazgrzytać zębami wypisano górskim kryształem imię młodej damy, od której pożyczył instrument – CHERYL – potraktowane przez wszystkich obecnych jako przebierankowy przydomek Zoyda.

– Spokojnie, kowbojko, wszystko jest w porządku. – Drwał cofnął się, Zoyd pociągnął ostrożnie za jedwabny sznureczek misternego rozruszniczka, i damska perłowa piła łańcuchowa zgrzytnęła i ożyła.

– Posłuchaj, jak mruczy to maleństwo.

– Zoyd, co ty tu, do kurwy nędzy, wyprawiasz tak daleko od domu? – Buster doszedł do wniosku, że czas interweniować.

– Żaden kanał nie przyśle ci jebanej ekipy taki kawał od miasta. Czemu nie jesteś w Eurece albo gdzieś w Arcacie?

Drwał spojrzał uważniej.

– Znasz tę osobę?

– Graliśmy razem w starej Six Rivers Conference – odparł Buster cały w uśmiechach. – To były czasy, nie, Zoyd?

– Nie słyszę cię! – wrzasnął Zoyd, starając się zachować szybko blednący groźny image. Niechętnie skręcił przepustnicę ślicznej perłowej piły, najpierw do damskiego basu, a potem całkiem. I rzucił w niosące się po sali echo: – Widzę, że zmieniliście wystrój.

– Jakbyście wpadli w zeszłym miesiącu, ty i ta twoja piłka, pomoglibyście nam wybebeszyć knajpę.

– Wybacz, Buster, chyba rzeczywiście wybrałem zły lokal, nie mogę ci przecież nic odpiłować, bo wpakowałeś w to kupę forsy... Przyjechałem tu tylko z powodu gentryfikacji South

Spooner, Two Street i innych kiedyś podejrzanych okolic, na której cierpi moja kieszeń, bo teraz mieszkają tam ludzie lubiący się procesować, i to o grubą kasę, i mają takich prawników od odszkodowań z miasta, że wystarczy, że się wysmarkam w ich designerską chusteczkę, i siedzę po uszy w gównie.

– No, mówiąc szczerze, my też nie jesteśmy już tacy ostatni, Zoyd, jak nas pamiętają. Odkąd odwiedził nas George Lucas z ekipą, dokonała się tu, powiadam ci, prawdziwa zmiana światopoglądowa.

– Taa, zauważyłem... Słuchaj, należesz mi małe damskie piwko... Wiesz, że jeszcze nie widziałem tego filmu?

Mówili o *Powrocie Jedi* (1983), kręconym częściowo w tej okolicy, co, zdaniem Bustera, zmieniło tutejsze życie na zawsze. Barman oparł tłuste łokcie na jedynej rzeczy, której nie zmieniono: oryginalnym barze z przełomu wieków, arcydziele snycerki wykonanym z jednego gigantycznego pnia sekwoi.

– Pod spodem wciąż jesteśmy chłopakami ze wsi.

– Sądząc po parkingu, z niemieckiej.

– Ty i ja, Zoyd, jesteśmy jak Wielka Stopa. Czas płynie, a my się nie zmieniamy. Posłuchaj mnie teraz: odkrywam w tobie pragnienie nowych doświadczeń, ale nie jesteś zwykłym barowym zabijaką, więc lepiej trzymaj się swojej specjalności, którą jest chyba w zasadzie... transfenestracja?

– Mmm... tak przypuszczałem – szepnął niemal niesłyszalnie jakiś drwal, przysuwając się i kładąc rękę na udzie Zoyda.

– Poza tym – ciągnął niewzruszony Buster, wbijając wzrok w dłoń drwala – wyskakiwanie przez okna to twój modus operandi. Zacziesz z czymś nowym w tak późnym wieku, a

stan będzie musiał grzebać ci w danych w komputerze, co nie nastawi ich do ciebie przychylnie. „Aha, zbuntował się, nie?”, powiedzą sobie i zaraz renta zacznie ci się spóźniać, może się nawet gdzieś zapodzieje na poczcie... No, spójrz na mnie, Lemay! Pokaż mi tę rękę, dobry człowieku, pokaż mi, kochanieńki, wnętrze dłoni na barze. Na chwilę, bo chcę ci powróżyc, co ty na to? – Dłoń drwała, która równie dobrze mogła zacisnąć się w pięść, przymuszona dziwnym jowialnym magnetyzmem Bustera zsunęła się natychmiast z uda psychicznie sparaliżowanego Zoyda, czy raczej Cheryl, jak nazywał go oczarowany (jak się wydaje) Lemay. – Będziesz długo żył. – Buster patrzył prosto w oczy Lemaya, a nie na jego dłoń. – Dzięki zdrowemu rozsądkowi i trzeźwemu spojrzeniu na rzeczywistość. Pięć dolców.

– Hę?

– No, dobra, postaw nam kolejkę. Ten tu Zoyd wygląda trochę dziwnie, ale odwała robotę dla rządu.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Lemay. – Tajniak!

– Świr – wyznał Zoyd.

– Och, no cóż... to też interesująca praca...

Właśnie wtedy zadzwonił telefon, szukano Zoyda. Z Cucumber Lounge, zajazdu znanego w całym okręgu Vineland, dzwonił poruszony Van Meter, przyjaciel Zoyda z dawnych lat. – Mamy sześć telewizyjnych wozów transmisyjnych, jeden z samego miasta, plus karetkę i furgonetkę z przekąskami. Wszyscy czekają, wszyscy zastanawiają się, gdzie jesteś.

– Tutaj. Dzwonisz do mnie. Pamiętasz?

– Aha. Celny strzał. Ale dziś masz wyskakiwać przez okno w Cuke!

– Nie! Dzwoniłem wszędzie i powiedziałem im, że jestem

tutaj. Co się stało?

- Mówią, że zmienili harmonogram.
- Kurwa. Wiedziałem, że któregoś dnia mnie to przerośnie.
- Lepiej tu przyjeźdź – poradził Van Meter.

Zoyd odłożył słuchawkę, schował piłę do torby, dokończył piwo i wyszedł, przesławszy wszystkim w powietrzu całusy i przypomniawszy, żeby oglądali wieczorne wiadomości.

□ □ □

Zajazd Cucumber Lounge rozciągał się od cieszącego się złą sławą motelu z charakterystycznym neonem w głąb kilku hektarów dziewiczego sekwojowego lasu. W cieniu ogromnych majaczących czerwono drzew stało ze dwadzieścia karłowatych domków kempingowych opalanych drewnem z gankami, grillami, łózkami wodnymi i kablówkami. Podczas krótkiego na północy Zachodniego Wybrzeża lata domki te służyły turystom i podróżnym, a przez deszczową resztę roku mieszkali w nich przeważnie miejscowi, płacący tygodniowy czynsz. Opalane drewnem kozy nadawały się do gotowania, smażenia, a nawet pieczenia, a w niektórych domkach stały kuchenki gazowe, więc oprócz dymu z bierwion i surowego zapachu drzew, w powietrzu unosiła się przez cały dzień woń gotowania.

Parking, na którym Zoyd usiłował znaleźć wolne miejsce, nie został utwardzony, a natura od lat żłobiła na nim wąwozy. Dziś parking ten zaszczyliły wozy mediów oraz pojazdy policyjnych sił specjalnych – stanowych i okręgowych – migoczące światłami i odgrywające syrenami motyw muzyczny z teleturnieju *Va banque*. Ekipy telewizyjne, światła, kable, kamery były wszędzie, parę przyjechało nawet z zatoki San Francisco. Zoyd poczuł tremę. „Może jednak

powiniennem odpiłować coś taniego Busterowi...”, mruzczał pod nosem. W końcu musiał zawrócić i zaparkować tyłem na jednym z miejsc Van Metera. Jego stary basista i kumpel od wysokoków mieszkał tutaj od lat w czymś, co nadal nazywał komuną i co składało się ze zdumiewającej liczby aktualnych i byłych starych, byłych chłopaków starych, dzieci zrodzonych z aktualnych i nieaktualnych kombinacji rodziców oraz rozmaitych ludzi wpadających na noc. Zoyd oglądał kiedyś w telewizji film o Japonii, o takim, chyba, Tokio, gdzie żyjący w niewyobrażalnym ścisku ludzie, nauczyli się wskutek dziejowej konieczności odnosić się do siebie kulturalnie, więc mimo przeludnienia świetnie dawali sobie ze sobą radę. Kiedy Van Meter – odwieczny poszukiwacz sensu – wprowadził się do bungalowu w Cucumber Lounge, Zoyd miał nadzieję, że w efekcie ubocznym uzyska japoński spokój ducha, ale nic z tego. Zamiast cichego rozwiązania kwestii przeludnienia, „komuna” Van Metera wybrała wyjście wysokoenergetyczne – ciągłą zwadę. Nieustanne wielodecybelowe kłótnie wyniesione do poziomu ceremoniału, opisywane w wewnętrznym biuletynie „The Blind-Side Gazette”, słyszane nawet na autostradzie przez kierowców rozpędzonych ciężarówek, z których część brała je za zakłócenia radiowe, a inni za nawiedzające okolice niespokojne duchy.

Lecz oto zza rogu Cuke wyszedł sam Van Meter z firmowym grymasem zranionej niewinności na twarzy.

– Jesteś gotów? Zaraz zacnie się ściemniać, wyjdzie mgła, i co ty, do cholery, robiłeś w Log Jam?

– Nie, Van Meter, powiedz mi, dlaczego wszyscy są tutaj?

Szli ścieżką na tyłach Cuke, a Van Meter marszczył i odmarszczał czoło.

– Chyba mogę ci powiedzieć, skoro już tu przyjechałeś, że właśnie zjawił się twój stary kumpel.

Zoyd natychmiast się spocił i przeżył napad strachu – taki, od którego od razu chce się srać. Czy to postrzeżenie pozazmysłowe, czy tylko reakcja na ton głosu przyjaciela? Ale wiedział, o kogo chodzi. I zamiast skupić się na skoku przez okno, zaczął się bać przybysza z dawnych czasów. Nie bez powodu, bo był nim stary prześladowca Zoyda, agent DEA, Hector Zuñiga, który wrócił niczym błędna federalna kometa ciągnąca za sobą podczas każdego przelotu przez orbitę Zoyda nowe klątwy i złowrogie oddziaływania. Minęło już sporo czasu od ich ostatniego spotkania, w zasadzie widzieli się po raz ostatni tak dawno, że Zoyd zaczynał mieć nadzieję, że Hector znalazł sobie inne żerowisko i przepadł na zawsze. Możesz sobie pomarzyć, Zoyd. Hector czekał obok toalet, udając, że gra na automacie Zaxxon, i licząc bez wątpienia na to, że zostanie na nowo wprowadzony do towarzystwa – honor ten miał przypaść w udziale menadżerowi Cuke, Ralphowi Wayvone’owi Juniorowi, młodemu utracjuszowi z San Francisco, gdzie ojciec Ralpa, dorobiwszy się w takich gałęziach przedsiębiorczości, w których rozliczenia dokonywane są zazwyczaj gotówką, wiele znaczył. Dzisiaj Ralph Junior odpicował się w garnitur od Cerrutiego, białą koszulę ze spinkami, zagraniczne półbuty „nadepnij je, a zginiesz” na podwójnej podeszwie i całą resztę. Jak wszyscy wokół wydawał się niezwykle spięty i podekscytowany.

– Cześć, Ralph, rozluźnij się, to ja odwałam całą brudną robotę.

– Nie gadaj... W przyszły weekend mam ślub siostry, orkiestra odwołała przyjazd, a ja jestem koordynatorem

weselnym, więc muszę znaleźć zastępstwo. Znasz kogoś?

– Taa, może... Lepiej tego nie spieprz, Ralph, bo wiesz, co się stanie.

– Żarty się siebie trzymają, hę? Dobra, dobra, chodź, pokażę ci okno, przez które wyskoczysz. Każę chłopakom zrobić ci drinka. A przy okazji, Zoyd, przyjechał twój stary kumpel, żeby trzymać za ciebie kciuki.

– Oo... – Zoyd wymienił z Hectorem najkrótszy uścisk kciuka.

– Wspaniały garnitur, Wheeler.

Zoyd ostrożnie jak saper wyciągnął przed siebie rękę, żeby poklepać Hectora po brzuchu.

– A ty nieźle poruszasz wąsami, amigo.

– Większy, ale nie miększy, *ése*. A skoro już mowa o lunchu, co powiesz na jutro w kręgielni Vineland Lanes?

– Nie dam rady, zarabiam na czynsz i mam już opóźnienie.

– To ważne! – rzucił z naciskiem Hector. – Spójrz na to tak: jeśli ci udowodnię, że wciąż potrafię być takim samym złym desperado jak zawsze, pozwolisz mi postawić sobie lunch?

– Takim samym złym... – Jak to? Dlaczego Zoyd zawsze daje się nabierać na te sztuczki Hectora? Najlepsze, co mu z tego kiedykolwiek przyszło, to wielki dyskomfort. – Hector, jesteśmy już na to za starzy.

– Po tylu radościach i po tylu łzach...

– No, dobra, przestań, umowa stoi. Ty jesteś zły, a ja przyjadę na lunch, ale pozwól mi teraz wyskoczyć przez to okno, okay? Dasz mi parę sekund...

Kierownicy produkcji szepnęli coś do walkie-talkie, techniczni za wyznaczonym oknem machali światłomierzami i nastawiali mikrofony, a Zoyd, oddychając spokojnie,

powtarzał w duchu mantrę, którą Van Meter pod koniec zeszłorocznej fascynacji jogą sprzedał mu za dwadzieścia dolarów – niezupełnie do wyłącznej dyspozycji Zoyda – twierdząc przy tym, że kosztowała go aż sto. Wszystko było gotowe. Van Meter przekazał mu wolkańskie pozdrowienia Spocka.

– Gotowym na twój znak, Zet Wuj!

Zoyd przyjrzał się sobie w lustrze za barem, poprawił fryzurę i odwrócił się opanowany, by z wrzaskiem i czystym umysłem podbiec prosto ku oknu i wyskoczyć przez nie na zewnątrz. Od razu wiedział, że coś poszło nie tak. W ogóle nie poczuł siły uderzenia, szkło w zetknięciu z jego ciałem zabrzmiało i zachowało się inaczej niż zwykle, nie stawiało oporu i nie rezonowało, nie pękło z trzaskiem i tylko mlasnęło jakoś tak pokrętnie.

Po obowiązkowej szarży z obłąkanym grymasem na ustach na każdą z telewizyjnych kamer oraz po zakończeniu przez policję papierkowej roboty Zoyd dostrzegł kątem oka Hectora, który przykucnąwszy wśród leżących na ziemi błyszczących odłamków wybitej szyby, podniósł ostry wyszczerbiony wielokąt okiennego szkła.

– Czas na złe wieści! – zawołał, uśmiechając się złośliwie w dobrze znany Zoydowi sposób. – Jesteś gotów? – Wysunął szybko głowę jak atakująca żmija i odgryzł spory kawałek szyby.

Kurwa mać, Zoyd zamarł. Odjechało mu..., ale nie, chyba nie, bo Hector żuł spokojnie szkło i zgrzytał obślinionymi zębami z tym samym złośliwym uśmieszkiem na ustach, mrużąc z zadowoleniem:

„Mmmm!” oraz „*¡Qué rico, qué sabroso!*”. Van Meter puścił się pędem za odjeżdżającą karetką, wrzeszcząc: „Sanitariusz!”, a Zoyd załapał, bo nie był przecież medialną

dziewicą i czytywał „Tele Tydzień”, więc przypomniał sobie artykuł o kaskaderskich oknach wykonywanych z przejrzystego arkusza cukru, który pęka i łamie się, nie raniąc i nie wyrządzając szkód. To dlatego okno od razu wydało mu się dziwne: młody Wayvone wyjął z niego normalną szybę i zastąpił ją cukrową.

– Znów mnie wyruchałeś, Hector, wielkie dzięki.

Ale Hector zniknął już w wielkim szarym sedanie z federalną rejestracją. Niedobitki kamerzystów filmowały krajobrazowe przebitki w Cuke i słynny obracający się neon, który Ralph Junior z radością włączył wcześniej niż zwykle: zielony neonowy ogórek z mrugającymi pryszczami, wzniesiony pod kątem graniczącym plus minus o jeden czy dwa stopnie z obscenicznością. Czy następnego dnia Zoyd powinien pojechać do kregielni? Technicznie rzecz ujmując, nie. Ale w oczach agenta pojawił się błysk, który dało się widzieć i teraz – mimo przyciemnianych szyb federalnego auta, mimo przedwieczornej mgły kłębiącej się na szerokim poboczu, w którą wjechał Hector, mknąc ku stojedynce. Zoyd czuł w kościach, że znów zostanie wkręcony. Hector od lat chciał zrobić z niego TW, ale do tej pory – znów z technicznego punktu widzenia – Zoyd zachował dziewictwo. Ale skurwysynek nie chciał dać za wygraną. Wracał, ciągle wracał, za każdym razem przywożąc ze sobą nowy, coraz bardziej obłąkany plan, a Zoyd wiedział, że któregoś dnia dla świętego spokoju powie „pieprzę to” i przejdzie na drugą stronę. Pytanie brzmi, czy robi to teraz, czy może kiedy indziej? Czy ma czekać na kolejny obrót? Bo czuł się jak w *Kole fortuny*, choć w okolicy nie było Pata Sajaka, który by go po przyjacielsku pocieszył, ani opalonej i pięknej Vanny White w rogu ekranu, która zaczarowałaby koło, życzyła mu

szczęścia i odkryła przed nim kolejne litery wiadomości, której za nic w świecie nie chciał przeczytać.

Zdążył dojechać do domu, żeby obejrzeć siebie w Pudle, ale musiał poczekać, aż córka skończy oglądać film o czwartej trzydziści: Pia Zadorę w *The Clara Bow Story*. Prairie pomacała materiał jaskrawej sukienki.

– Piękny wzór, tatusiu. Nówka, chiba. Dasz mi ją, jak już nie będzie ci potrzebna. Rzucę ją na futon.

– Ej, spotykasz się z drwałami, pilarzami, rębaczami i takimi tam?

– Zoy-oyd...

– Nie obrażaj się, paru takich gości dało mi dzisiaj swoje telefony, pojmujesz? Razem z banknotami o różnych nominałach.

– Po co?

Zmrużył oczy i przyjrzał się jej uważniej. Czy to jakieś podchwytliwe pytanie?

– Poczekaj, mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty, tak? To znaczy, że masz ile... czternaście lat?

– Prawidłowa odpowiedź. Grasz o samochód?

– No, nie złość się, to nic osobistego. – Zdejmował sutą kolorową suknię.